

Z **PAWŁEM KOŚLIKIEM***, AKTOREM,
ARTYSTĄ KABARETOWYM ROZMAWIA
AGA KOZAK

PAWEŁ KOŚLIK: A mówiłem ci, że nie mam zębów?

AGA KOZAK: Od tego chcesz zacząć tę rozmowę?!

– No tak. Aktorem chciałem być od lebka. Ale powiedz mi, kto aktorem jest albo zostaje? Mężczyzna około dwóch metrów wzrostu. Wysportowany, dobrze wyglądający. Kobieta – blondynka, metr siedemdziesiąt parę, rozmiar 36.

Ostatnio nawet niedoszli studenci Akademii Teatralnej i aktualni wykładowcy zwracali uwagę na to, że wybierane są osoby „od jednej sztancy”, że nie ma różnorodności, zwłaszcza jeśli chodzi o kobiety.

– No więc wyobraź sobie, że ja – ja! – chcę być aktorem i mam w głowie ten wizerunek amanta. A w szóstej klasie pojechaliśmy z harcerstwem w góry i na brzuchu zjeżdżałem – bo nie było sanek – na reklamówce po śniegu. I oczywiście glebnałem w skalę.

Dobrze, że tylko zęby straciłem... Wybiłem sobie prawą jedynkę i dwójkę. W efekcie nosiłem taką protezę – dwa zęby na haczyku zawieszone na trójce.

Było widać, kiedy się uśmiechałeś?

– Ba! Wiele razy przeżyłem taką sytuację: przerwa, biegniemy z chłopakami się bawić, gramy w kosza i kiedy się śmieję, to zęby mi wypadają. Oni się śmieją, ja cały czerwony wkładam tę protezę.

Ale chłopaki to jeszcze pół biedy. No bo dochodzą w pewnym momencie rozkminiki: jak ja się z dziewczynami całować będę? A jak mi to wyleci? A obejrzałem jeszcze taki film z Robem Lowe’em, który się całował ze starszą kobietą i jej proteza wypadła, na co on uciekł...

Jak zdawałem do szkoły aktorskiej, miałem już protezę nową.

Nowocześniejszą?

– Trochę. Też wyciąganą, dwa zęby osadzone na połowie plastikowego przezroczystego podniebienia – trochę jak aparaty korygujące, zaczepy były na zęby trzonowe.

Na drugim etapie zdawania egzaminów do szkoły aktorskiej, są konsultacje logopedyczne. Powiedzieli, że „S, CZ” jest do wyprostowania. I ja się przełamałem, swój wstyd i im pokazałem tę protezę. A nie wiem, czy wiesz, jak to za moich czasów było w szkole aktorskiej?

Nie mam pojęcia.

– Jak się jakiś profesor uprze, że cię nie chce, to znajdzie jakiegoś współlasa do tego – innego profesora, dwie-trzy osoby go poprą – i lecisz. Więc ja miałem tak wylecieć – argumentem było między innymi to, że nie mam zębów, a generalnie nie rokuję.

Wstawił się za mną profesor Cieślak, który powiedział, że przecież wiedzieliście, przyjmując go, że nie ma zębów, więc o co chodzi. Czyli pokonując wstyd, nie zgrywając bohatera, pokazując ulomność – wygrałem. Cieślak jeszcze dodał, że zamiast wyrzucać, to by mi można pomóc. Fundacja Ryszarda Hanina dołożyła mi dzięki temu fundusze na most.

Ale amantem nadal nie byłeś...

– ...nasz rocznik akurat na szczęście był specyficzny: jeden gruby, inny chudy, mały, niski, krzywy – różni byli. Ale rok przed nami Leszek Lichota, Michał Żurawski, Wojtek Solarz – wszyscy prości i wysocy.

Dziewczyny u nas też były różne... Po latach się można, wiesz, śmiać z tego, że się tyle człowiek porównywał, ale... Ale ja chciałem powiedzieć o tym, że rzeczywistość to jedno, ale to, co my mamy w głowie, te wszelakie wewnętrzne wymagania wobec siebie, to, że jesteśmy niewystarczający – to drugie.

DEPRESJA KOMIKA

Aż ojcu kiedyś
powiedziałem
wiele lat temu:
„Tato, ja nie jestem
małą”



I my tej części nie widzimy, nie wiemy, jak człowiek się boi. Nawet aktor. Nawet taki, który pozwala się innym z siebie śmiać.

To jest trudne?

– Wiesz, ludzie, którzy traktują mnie nie jako wykonawcę roli, tylko utożsamiają mnie z postacią kabaretową czy komediową – to jest trudne. To ci, co podchodzą i krzyczą: „Ty jesteś ten no? Ten śmieszny! Powiedz coś śmiesznego! Jurek! Jurek! Tu jest ten, co gra w tych kabaretach! Rozśmiesz nas!”. To mnie też spotykało nawet wśród najbliższej rodziny, na imprezach.

Aż ojcę kiedyś powiedziałem wiele lat temu: „Tato, ja nie jestem małpą”. I on sobie to zapamiętał i gdy któryś z jego kolegów tak do mnie startował z „Ty śmieszny jesteś”, to on powtórzył moje słowa. Super to było!

Tymczasem śmieszność czy komedio-wość to jest strasznie poważna rzecz, co? Ja się często zastanawiam, jak to jest wyjść przed ludzi i przekształcić największy lęk w siłę: dać się ludziom z siebie śmiać.

– „W kabaretach” – takich z publiką od 2 do 7 tys. osób – niektórzy grają, „dociskając”. Mam teraz tego pogłębiany ogląd, bo jeżdżę na występy kabaretowe w halach na 7 tys. osób. Gram w „Moralniakach” postać Tadeusza Sznuka w zastępstwie za Roberta Górskiego, który postanowił sobie trochę odpocząć.

Faktycznie kabaret rządzi się innymi prawami: tu można udawać, podegrać, ale jeśli chcesz naprawdę być śmieszny, to musisz siebie odsłonić.

Pokazywać prawdziwe reakcje, to, jak ty byś się zachował w danej sytuacji – w sensie ja, Paweł Koślik. I wtedy to naprawdę działa, bo człowiek czuje, że nie oszukujesz widzów.

Można oczywiście przegiąć: ubrać perukę, zmienić głos – niektórzy to lubią bardzo. Ale moim zdaniem ta prawdziwa komedia jest strasznie blisko tragedii.

Jak miłość nienawiści.

– Przypomina mi się od razu anegdota: na planie jakiegoś filmu Zbigniew Buczkowski, który nie był w szkole teatralnej, zapytał, jaka jest różnica między komedią a tragedią. I mu powiedzieli: „Słuchaj, wyobraź sobie takie małe miasteczko, starówka, fontanna w środku i piesek lata wokół tej fontanny. I on się nie może załatwić, kupy zrobić. I jego uciska, wygina, i on skuczy. I dla niego to jest tragedia. A ludzie patrzą na to i się śmieją. I dla nich to jest komedia”.

Nic tak, niestety, nie rozśmiesza jak nie-szczęście drugiej istoty.

A ty jak to ogarnąłeś? Te swoją komedio-wość? Przecież ty jesteś megawrażliwym, poważnym, a miejscami smutnym człowiekiem.

– Będąc na studiach, chciałem grać poważne role. Hamlety. Naprawdę! Tylko tragedie. Siedzenie w roli, gmeranie w sobie, cierpienie. A mnie w szkole mówili: graj śmieszne rzeczy.

A to nie jest upupiające, że ty taki śmieszny? O i patrz, sama uznałam, że jak komedia, to gorsza.

– No widzisz. W szkole – chcąc grać te Hamlety – zagrałem jednak na prośbę koleżanki wioskowego głupka. Z uprzejmości. I okazało się, że to była moja najlepsza scena na egzaminie. Dlatego że ja zrobiłem to od niechcenia.

Ta koleżanka czuła, że to jest ten kierunek, że ja idealnie tam będę pasował. Ktoś z zewnątrz mnie zobaczył z moim talentem. Ale to było daleko od Hamleta, więc w głowie powiedziałam sobie: „Nie chcę tego grać”. „To nie moje”.

I co było potem?

– Ciągłe gmeranie w sobie, poszukiwanie tzw. głębi, schodzenie w mrok, czemu nie-jednokrotnie, niestety, towarzyszył alkohol i narkotyki. Doszło do tego, że chciałam

już rezygnować z tego zawodu, zresztą nie-ostatni raz.

Silą rzeczy wylądowałem na terapii. Psychiatryca na oddziale półotwartym, gdzie leczyłem nerwicę, też tak mi mówiła: „Panie Pawle”... Poczekaj chwilę, bo jak mi się to przypomina, to jakby mi ktoś otwierał klatkę piersiową i dotykał serca.

Siedzimy tam sobie na którymś spotkaniu – to były zajęcia grupowe, a raz na jakiś czas spotkania indywidualne, więc ona mnie już zdołała poznać. „Panie Pawle, pan ma talent. I pan nie może go zmarnować”.

Nikt tak mi nigdy nie powiedział, tak mocno, jakby właśnie serca dotknął. I ona też mówiła: „Niech pan spróbuje w komedii”. I fakt, ja nawet w kłótni potrafię ludzi rozbawić. Nawet jak się zaciętrzewiam, to to wygląda śmiesznie.

Ludzie się śmieją nie dlatego, że szydzą ze mnie, tylko dlatego, że moja twarz, nawet gdy wyraża poważne emocje, to to wygląda zabawnie. To się nazywa vis comica, czyli po polsku wis komika.

I to jest talent!

– To jest talent, to jest mi dane. Podobnie ma Rowan Atkinson, który odgrywa Jasia Fasolę – a swoją drogą też opowiada ostatnio o swojej depresji. Więc to mam dane, a reszty – warsztatu – jak to coś wykorzystać, się już uczyłem.

Ta depresja komika...

– Niejednokrotnie się dziwię, z czego ludzie się śmieją. Ale to jest przecież nasz za-

Wiesz, ludzie standardowo pracują osiem godzin dziennie. Aktor na planie różnie: czasem popracuje dwie-trzy godziny i ma wolne, ale generalnie mają prawo cię trzymać 12 godzin. Dwanaście. Dolicz dojazd tam, gdzie masz zdjęcia, i powrót do domu. Ile zostaje ci na dom, na sen?

Czasem jest na styk albo wychodzisz na minusie. A jako aktor pracujesz cały czas, trybiki w głowie się obracają, tu coś podłapiesz, tu coś ci się przypomni.

Aktor ma tak, że instrumentem jego pracy jest on sam. Musi się nauczyć tu [Paweł wskazuje klatkę piersiową] – szarpać.

To dlaczego chciałeś zostać aktorem?

– Żeby mieć dużo kochanek, szybkie samochody (*śmiech*)...

A dostałeś uzależnienie i lęk.

– Od dziecka przebierałem się w czerwony szlafrok, przytraczałem sobie zabawkowy miecz i odgrywałem sceny. Robert Górski mówił mi kiedyś, że też tak robił – odgrywał sam przed sobą Łukaszewicza zapadłego na gruźlicę.

Ja z wypiekami oglądałem na VHS Bruce’a Lee. Wchodziłem w wymyśloną rzeczywistość. Z punktu widzenia terapeutycznego „uciekałem przed życiem”, bo „miałem trudne dzieciństwo”. Kurwa, kto miał lekkie dzieciństwo – ja się pytam?

Ale słuchaj: jak w Zgorzelcu się przeprowadziliśmy do nowego mieszkania, gdzie był prysznic, to pod nim odtwarzałem scenę z filmu „Terminator”, kiedy Schwarze-

negger zostaje zrzucony nago na ziemię i się z wolna wyprostowuje. Ja pod tym prysznicem byłem po prostu Terminatorem.

Terminator w Zgorzelcu. Nikt w rodzinie nie był „artystyczny”?

– Ani zamożny. Ojciec był wojskowym przez 20 lat. Potem poszedł na wczesną emeryturę, bo już wojska nie mógł znieść. To były czasy transformacji – w pewnym momencie targowisko w Zgorzelcu było większe niż Targ Europa w Warszawie.

Wychodziłem ze szkoły, a tu wszędzie stragany. Ludzie wszystkim handlowali. No i ojciec próbował się w tym odnaleźć, czymś tam handlować, ale nie był w tym dobry.

Czyli nie było pieniędzy.

– Były na zakładkę. Ojciec w Niemczech pracował na kuchni, potem na targowisku jako inkasent. Jakoś tam żeśmy sobie radzili. Nie to, że bida, ale pamiętam, jak ojciec przynosił z tego targowiska – bo tam była taka budka z hot dogami – resztki z bułek. Jedliśmy je z mlekiem – nie tyle z biedy, co z etosu niemarnowania. On zawsze był oszczędny, pochodził ze wsi, a tam trzeba było się liczyć z każdym groszem. I te bułki z mlekiem, trochę cukru, masła. O, jakie dobre!

Naprawdę?

– Nie, na dłuższą metę to danie męczące. Pamiętam, jak tato szykował nam kanapki do szkoły i pakował je w takie plastikowe worki po mleku, bo przecież to się „nadaowało”. Rozumiem – zwłaszcza teraz – jego podejście, ale wstyd mi było wówczas, gdy kanapki w szkole wyjmowałem z takiej foliowy. Ale czemu o tym mówię? Bo potem jakoś się sytuacja unormowała. Mama sprzątała w jednej knajpie.

No i na tę stabilizację ja nagle zrzucam bombę, że chcę pójść do szkoły aktorskiej. Ojciec powiedział: „Zwariowałeś. A za co?”.

Wiem, że poszedłeś, ale czy się dostałeś?

– Jak pierwszy raz zdawałem do szkoły do Łodzi – nie. Jak zobaczyłem, że mnie nie ma na liście na drugi etap, to zdębiałem. Jak to? Gitarę przecież nawet na egzamin przywiozłem!

Trafiłem do SPOT-u do Krakowa, takiego studium przygotowującego do egzaminów na Akademię Teatralną. Kosztowało, ojciec znów powiedział, że zwariowałem, matka – że damy radę. Trudno mi było wziąć jakąś zarobkową pracę, bo zajęcia były porozrzucane na cały dzień, więc na weekend wzięłem. W knajpie.

Wracałem z niej na piechotę, bo już nie było nocnych autobusów. A że mieszkałem pod Krakowem we wsi Węgrzce, to szedłem godzinę do domu. I po roku znów egzaminu, czekanie na listę z nazwiskami, kto się dostał. Nerwy.

Pamiętam, że spaliśmy w akademiku. Z nowo poznanymi kolegami znieczuliliśmy się wówczas chemicznie, coby nie myśleć o kolejnym dniu, kiedy ogłoszone mają być ostateczne wyniki egzaminów.

Rano, przed wyjściem na uczelnię, podprawiliśmy trochę nasz stan. Teraz wiem, że próbowałem tym zagłuszyć strach. Lęk przed odrzuceniem. Teraz też często się pojawia, ale inaczej sobie z tym radzę. Nie narkotykami, ale zajem, pójdę spać – żeby tylko nie myśleć o czymś.

No ale się dostałeś?

– Na chłodno to przyjąłem. Byłem odurzony. Jakbym był na trzeźwo, tobym tam chyba zszedł na zawał. Do matki zadzwoniłem z budki z tą wiadomością i ucieszyła się, ale ja nawet tej jej radości nie poczułem.

Kiedy nastąpił ten moment, że zdałeś sobie sprawę, że przeginasz z substancjami?

– Moja „przygoda z chemią” zaczęła się w liceum, ale dość szybko zorientowałem się, że mi to nie służy. Niestety, w Krakowie jak przysłowiowy pies spuszczonej z łańcucha wkręciłem się na nowo w swoje uzależnienie.

A co ci to dawało?

– Wyobraź sobie, że jak przyjechałem do Krakowa, musiałem pierwszą noc spać w schronisku. Pięć obcych osób w pokoju. Kurwa, z nerwu rzygałem ze trzy godziny. Czemu? Zgorzelec ma z 40 tys. mieszkańców i jeden autobus. Pięćdziesiątka, co jedzie przez całe miasto.

A przyjeżdżasz do takiego Krakowa, tramwaje, autobusy, głośno, ruch, odległości. Dlatego pilem, żeby znieczulić ten lęk. Jak się dostałem na studia, no to prawie dzień w dzień, żeśmy palili. Wieczorami.

Potem weszły te mocniejsze narkotyki – kwasy, grzyby, ekstazki i wachanie. Na zajęcia z piosenki przyszedłem zwąchany. „O, coś nie idzie”. „Pani profesor, to za tydzień, dobrze?”. Czasem na zajęciach z filozofii byłem zjarany.

I co było dalej?

Na drugim roku studiów – jak dziś to wspomnam, to musiała być jakaś łaska, jakiś cud – została mi odebrana obsesja, przymus zżywania pewnych substancji.

Alkohol jednak na stałe stał się ważnym towarzyszem. Coraz bardziej się zatracalem. Na czwartym roku, na którym graliśmy już swoje przedstawienia dyplomowe, miałem pierwsze ataki paniki na scenie. Po tem już również w codziennym życiu. O, teraz słyszę, że robię spikerkę.

Czyli?

– Na spotkaniach grup samopomocowych tak się mówi, gdy godzinę gadasz o sobie, są emocje i wręcz w dziaśla ci to wszystko wchodzi.

Po studiach załamka, że dużo osób dostało pracę w serialu. Inni w teatrze. A ja – wielkie rozczarowanie. Wskoczyłem w taki teatr offowy, grałem w spektaklu i tam już zacząłem pić za dnia. I rano, i przed spektaklem. I idealnie mi się grało. Trochę jak na tym ogłoszeniu wyników na studia, że było mi wszystko jedno.

Tak samo tu. Setka żołądkowej przed spektaklem i wszystko mogłem grać.

I nadchodzi rok 2005. Maj. Alkohol już mi nie pomaga, ale piję. Bo nie wiem, nie mam pomysłów, jak to inaczej opanować. Czuję, że zaraz zwariuję. Mam ataki paniki w autobusach. W miejscach publicznych.

Kiedyś chodziłem do kina i się dziwiłem, że ludzie piją w tych DKF-ach, przecież filmy są takie fajne i bez tego. Zacząłem pić w kinie przed seansem. W knajpach chodilem do kibla, piłem swój alkohol, żeby mniej wydawać, żeby się zaprawić i móc legalnie siedzieć przy jednym piwie.

Rano na kacach chodziłem do sklepu szybko, żeby kupić setkę żołądkowej i piwo. Setka, żeby się uspokoić, i potem powoli piwo, by przedłużyć „blogostan”. Wychodziłem z domu dopiero wtedy, gdy połączyłem kąpiel z piwem. No i ten maj.

Co się wydarzyło?

– Jadę na komunię chrześnicy. Dzień wcześniej oczywiście też popilem. Pociąg z Warszawy do Zgorzelca to 10 godzin. W przedziale przeżywam piekło. Wychodzę do kibla. Modlę się – modlitwa nie pomaga. Nawet płakać nie potrafię. Po prostu chaos. Rozpadam się na kawałki.

I wtedy pojawiła się chęć odebrania sobie życia: wyskoczyć z pociągu. I kiedy już chwytalem za klamkę, podszedł jakiś chłopak i zaczął do mnie gadać. Wtedy to zadziało. „Daleko jedziesz?” – zapytał. I ja się uspokoiłem. Nie podjąłem kroków ostatecznych. A on zniknął.

Dojechałeś do domu.

– W sobotę na drugi dzień była ta komunia. A ja już nie wyrabiałem. Powiedziałem mamie, że sobie nie radzę. Że przesadzam z alkoholem. „Ja wiedziałam. Ja czułam”.

Wtedy w tym maju...

– ...matka powiedziała rodzinie, że mam gorszy moment, dała ziołowe tabletki na nerwy i w poniedziałek poszedłem do psychiatry.

Lekarz mi mówi: „Dla niektórych alkohol jest, dla niektórych nie, dla pana nie”. Dostałem antydepresanty. Od tamtego momentu nie piłem, poznałem dziewczynę, zakochałem się i pewnego dnia ona powiedziała: „Nie pijesz już pół roku, może możesz jedno piwo na spółkę?”.

Na mityngu byłem raz, nie byłem na żadnej terapii, a raczej byłem – poszedłem i stwierdziłem: „A, to nie dla mnie, ja tak źle jak inni nie miałem”. I to jedno piwo na spółkę no to wypijmy. Jak szklankę wypilem, latałem jak szmatka po ścianach, śmiałem się jak dziki. Ona się też śmiała, ale powiedziała, że ona w sumie nie ma ochoty na to swoje piwo. No to szkoda, żeby się zmarowało – wypilem. To nie jest tak, że ty od razu idziesz w cug. To się rozkręca.

W końcu i my się rozstaliśmy, a ja piłem. Odwiedziłem znów psychiatrę, zmiana leków.

Zacząłeś pracować w Teatrze Polskim.

– Nie piłem, bo i terapia weszła. Odkryłem, że jestem DDD. Przyjrzałem się nerwicy. Ale dwa tygodnie przed premierą zrezygno-

walem ze spektaklu – z lęku. Spektakl był w 80 proc. zrobiony, wszystkie sceny.

Nie brałem leków, mieszkalem sam, nie czulem, że mam jakiegolwiek wsparcie. Też żebyśmy się zrozumieli: na własne życzenie byłem sam, to nie tak, że świat mnie skrzywdził, wiesz, ale też nie potrafilem inaczej.

Aktorzy mi pomagali, chodziłem dwa razy w tygodniu na terapię, sztuka była kome-dią, a ja miałem takie napięcie, że zrezygnowalem. Zapłaciłem za wydrukowane plakaty.

Na szczęście dostałem w międzyczasie rolę w reklamie i od tamtego czasu zaczęło się wszystko ustawiać. W kabarecie zacząłem grać, trafiały się główne role, pojawiały w serialach. Teraz bywają i występy przed 40 tys. ludzi, i jeszcze czasem się pojawiają te lęki, ale to już nie na taką skalę i nie mam już ataków paniki.

Trudny ten teatr, co? Kiedyś mi brat – który bynajmniej nie zajmuje się aktorstwem – wyskoczył, że on mnie u siebie w interesie nie widzi. I ja mu po tych terapiach odparowałem, że ja jego w teatrze też nie. Nie trzeba uderzyć kogoś albo być twar-dym, żeby pokazać siłę. Mężczyźni często tego nie rozumieją.

Ja bym chciała wiedzieć, co zrobiłeś – oprócz pójścia do specjalistów – że ty z tego wszystkiego wyszedłeś? – To jest proces. Rozłożony na lata, bo uzależnienie jest czubkiem góry lodowej. Uzależnieniem sobie radzisz z czymś: z napię-

Setka żołądkowej przed spektaklem i wszystko mogłem grać

ciami, z lękami, z problemami – i się przyzwyczajasz do tych niezdrowych rozwiązań. Takich środków przeciwbólowych na różne bóle istnienia, których nie możesz odstawić, bo od razu cię życie atakuje ze zdwojoną siłą. To może być alkohol, narkotyki, kompulsywny seks, zakupoholizm, ćpanie uczuć i miłości też. Objadanie się – to teraz wydaje mi się dość powszechnym izmem, a tak niewiele jest spotkań akurat tej wspólnoty samopomocowej w Warszawie.

Pojawia się tyle nowych form uzależnienia, one się zmieniają wraz ze zmianami cywilizacyjnymi. Wydaje ci się, że pozbyłeś się jednego uzależnienia – okazuje się, że wpadłeś w inne. Dlatego tak ważna jest terapia pogłębiona i treningi interpersonalne, czyli grupy. One są też bardzo ważne dla DDA czy DDD – dzieci z rodzin dysfunkcyjnych.

Czy jak się jest uzależnionym, to się staje ekspertem od uzależnienia?

– Jeśli jest się uzależnionym i się coś z tym robi – tak. Poznajesz mechanizmy. Jeśli jesteś szczery wobec siebie, wobec swojej pracy nad uzależnieniem, wychodzeniem z uzależnienia – schematy są wszędzie podobne.

Na przykład ja nie piję, ale pojawiają mi się napady kompulsywnego jedzenia. Rozpoznaję znajome mechanizmy: że planuję sobie, jak by tu pójść do sklepu, wiem, jaką tu mają czekoladę, a gdzie inną, wiem, o której ten sklep zamykają... Przyglądam się temu i widzę – jak z alkoholem.

Czy w wychodzeniu z nałogu pomogła ci któraś z metod aktorskich? W końcu ty te techniki uwielbiasz.

– One mogą być wspierające, ale to zależy, jak się je traktuje. Nie jako owo gmeranie w sobie w poszukiwaniu ciemności, które wspominałem, ale jako kontakt z uczuciami – to tak. Z czystym sercem polecam technikę Meissnera jako technikę aktorską mogącą pomóc poradzić sobie z pewnymi po-

kładami niewyrażonych emocji. Podczas takiego ćwiczenia jak repetitions – powtórzenia – dwie osoby po prostu stają naprzeciwko i patrząc sobie w oczy, odzwierciedlają swoje uczucia.

To ćwiczenie ciekawe na poziomie neurologicznym, na poziomie otwarcia na siebie i drugą osobę, na ściąganiu wstydu, na empatii. I to może trwać nawet kilkanaście minut: ludzie śmieją się, płaczą, krzyczą.

Uwielbiam zapisy na YouTube podobnego do tego tzw. eye contact experiment, kiedy pary nawet z długim stażem, patrząc sobie po prostu w oczy przez cztery minuty, mówią o pogłębionej intymności, a ludzie, którzy się nie znają, prawie się w sobie zakochują.

– Bo dają sobie obecność. Uważność. I to jest bardzo ważne nie tylko w metodach aktorskich, ale przede wszystkim w życiu codziennym.

Dla alkoholika ważna jest obecność innej osoby, bo – jak się często mówi – dla alkoholika najgorszym towarzystwem jest jego własne towarzystwo. Wtedy jego myśli idą w złą stronę. I kiedy on czy ona wychodzą na zewnątrz, do innych – już jest dobrze. Wspieramy się wtedy na kimś.

Dla mnie – samotnika – koszmarem jest granie monodramu. Czy stand-upu. Trzymanie napięcia i odpowiedzialności za całość projektu, wystąpienia z uwagą tylko na sobie nie jest dla mnie. Dla nas lecząca jest

obecność, że nie czujesz się samotny, samotna. I możesz być sobą.

Bo uzależnienie to choroba tajemnic przed drugim człowiekiem. Mnie bardzo pomaga moja żona i nasze kocury.

A jak ty się teraz masz?

– Bezpiecznie. Gram w kabaretach, teatrze, filmach. Ludzie wiedzą, że mogą na mnie polegać, podobno przez to nawet ze mnie kpią, że jestem „mokrym snem producenta”.

Może też dlatego, że ja jestem jak żółw – powolnym, wytrwałym długodystansowcem. W biznesie sobie nadal nie radzę, to nie moja działka, wszystko bym rozdał. U nas to ogarnia żona, ona jest lokomotywą, ja jestem wagon sypialny i restauracyjny.

No i muszę ci powiedzieć, że cieszę się, że nie skończyłem jak Robin Williams. Może w tej tragedii komika o to chodzi, że człowiek potrafi być strasznie zabawny w zmaganiu się z życiem, ze światem, z przeciwnościami losu.

Niektórzy oczywiście zawsze wyglądają śmiesznie, ale przecież bywa taki Forrest Gump, że jest i tragicznie, i komediowo.

Widziałam cię w spektaklu, w którym grasz ojca chłopca z autyzmem. Naprawdę rewelacyjny „Dziwny przypadek psa nocną porą” wystawia Teatr Miejski w Gliwicach.

– Ten spektakl jest nieprzytłaczający, a szalenie mądry. I gram tam rolę nietypową, bo w sumie nie jest komediowa, za to chyba ważna.

Musialem się zastanowić do niej – nie mając dzieci – kto to jest „prawdziwy ojciec”. Bo przecież chyba my obydwójemy znamy pokolenie ojców nieobecnych. Mój i twój wojskowi... A taki wizerunek mężczyzny troskliwego, ojca, który rozmawia, dopiero się przebija. „Jak się czujesz, synu?” zamiast „Co było w szkole?”.

Moje wyobrażenie ojcostwa czerpię m.in. z rozmów z moim chrześniakiem. Tej

frustracji, kiedy próbujesz coś dziecku wytłumaczyć, ale trzeba wielkimi literami. Bo osoby w spektrum są non stop bodźcowane.

Wiem to od mojej żony, osoby w spektrum, która też pomogła mi zrozumieć tę postać. Czytałem podsunięte przez reżysera książki. Oglądałem ukochany serial „Miłość w spektrum” na Netflixie. W głębi serca mam też ukryte pokłady ciepła.

W głębi serca? Przecież ty jesteś totalnie ciepłym facetem.

– Ale potrafię też być apodyktyczny. No z siebie też brałem tego ojca, bo ja lubię troszczyć się o kogoś, zajmować się kimś, lubię rozmawiać, słuchać, doradzić, jeśli ktoś chce.

To jest męskie.

– Tak? Nie? A widzisz, mi się kojarzy z ko-biecością. Ale odkrycie!

Chyba wszyscy chcielibyśmy mieć takich ojców – takich też jak ten twój z „Psa...”. Tam nawet jest taki aspekt siły czy złości tego ojca, który jest prawdziwy, równowagę go miłość i oddanie.

– Gdy sobie wyobrażałem, jak by to było mieć syna takiego jak Christopher i tę ogromną frustrację jego rodziców, i to, że czasem po prostu nie można tego opanować, to...

Może to dziwnie zabrzmii, ale emocje wszędzie są podobne, tylko z różnych powodów się pojawiają. Więc ja, myśląc o ojcostwie i synu w spektrum, myślę o swoich dwóch kotach. Darzę je wielkim uczuciem. I są takie momenty: Czarek strasznie miauczy, a ty jesteś w napięciu, bo masz coś do załatwienia i tu ktoś jeszcze dzwoni, czegoś chce.

Momentami mam ochotę go rozszarpać. Dlaczego akurat w tym momencie musisz miauu, miauu, miauu? Ja sobie wyobrażam, że podobnie jest z dziećmi. Wkurw bywa uzasadniony i choć go nie pochwalamy, to trzeba go zrozumieć.

Czy aktorzy są osobami, które lepiej rozumieją emocje? Czy to pomaga w terapii?

– Granie nie jest terapią i trzeba o tym pamiętać, ale może działać terapeutycznie. Za dużo psychologizowania w teatrze też nie pomaga. Bo siedzimy i rozbijamy gównu na atomy.

A ty nie masz opisywać z zewnątrz, tylko poczuć. Masz być tą postacią. Można pogadać o emocjach, ale czy o nich się na co dzień gada, czy je przeżywa? Ja jak gram spektakl we flow, to czuję, jak moje – Pawła Koślika – emocje z życia się uwalniają. Jakieś zaciski, niewyrażone uczucia. Kanalizują się i wychodzą w postaci innych emocji, ale grając – pozbywam się ich z ciała. Jest reset. No, to jest przyjemne.

Rzadko się zdarza na takim poziomie, ale się zdarza. Następuje wtedy, kiedy podejmujesz ryzyko odważenia się bycia naprawdę aktorem – a może po prostu człowiekiem – tzn. że grasz i się odsłaniasz. Nawet w tym kabarecie. Najlepsi to mają.

Bill Murray, Tom Hanks.

– Mam czułość do Hanksa: przecież on grał przez długi czas głupkowate role, a teraz Oscary. Rola Forresta Gumpa jest i komediowa, i poważna. Bo życie jest i takie, i takie, co nie? ●

Paweł Koślik

• aktor teatralny, filmowy, serialowy, artysta kabaretowy. W świadomości szerokiej wi-downi zaistniał jako jeden z twórców serialu komediowego „La la Poland” oraz Prezydent w „Uchu Prezesa”. W latach 2005-12 aktor Teatru Polskiego w Warszawie, obecnie współpracuje z warszawskimi teatrami Dramatycznym, Kamienica, 6. Piętro oraz scenami impresaryjnymi. Od 2012 r. jest jednym z filarów Kabaretu na Koniec Świata. Ukończył wydział aktorski w Warszawskiej Akademii Teatralnej im. Aleksandra Zelwerowicza.